

To Słychać



№ 5.

3. II. 1943.

6a.

W dzisiejszym
numerze.

1. OD REDAKCJI.....	STR. 2.
2. TRAGICZNA SERIA.....	3.
3. NARODZINY LANCASTEROW.....	5.
4. NIEMCY-TURYSKI W TURCJI.....	8.
5. PSIA ZLIYSLNOSC.....	10.
6. ŚMIERC PPEK. KEYES'A.....	12.
7. CZY WIECIE, ZE.....	14.
8. MUSTANGI.....	15.
9. PAHIETNIK ZOENIERZA.....	17.
10. CZY WIECIE, ZE.....	22.
11. WIZYTA ROMIELA.....	24.
12. LORD MOUNTBATTEN - SYLWETKA.	25.
13. HULIOR BRYTYJSKI.....	28.

OKŁADKA: Lord Mountbatten.

OD REDAKCJI.

Wszystkim P. T. Czytelnikom, którzy przysłali nam miłe słowa zachęty, a szczególnie pp. Mjr. W. S. H. z Coventry, Ppor. Z. H. z Haimyres Hospital, p. W. S. z Londynu, Kpt. H. K. i p. St. Śl. z Kirkcaldy, składamy serdeczne podziękowanie.

Redakcja ma mały zatarg... z własną Administracją. Postanowiliśmy przekazać sprawę przed Forum Czytelników.

Pewna ilość/znikoma/ prenumeratorow dawnych, prenumeruje pismo prawie od chwili jego powstania i niestety, zalega z opłatą należności. Administracja żąda wysłania nieprzyjemnych, terminowych monitów, a Redakcja nie chce się na to zgodzić.

Korzystając z możliwości przelewania na papier swych bólów i radości, Redakcja tą drogą zwraca się z uprzejmą prośbą do tych Panów o dopomożenie nam w naszym sporze. Gdy Administracja otrzyma parę przekazów w odpowiedzi na przesłane dawniej skromne upomnienia, będzie zmuszona powstrzymać swe agresywne zapędy.

Szef Administracji śmieje się coprawda z wiary Redakcji i twierdzi że i na ten apel odpowiedzi nie będzie.

Redakcja jest jednak pewną swego i jednocześnie korzysta z okazji, aby się zwrócić do wszystkich Czytelników o przesłanie należności za prenumeratę bieżącą, bez oczekiwania na rki.

Tragiczna Serra...

Sceptycy jeżeli chcą, mogą nie wierzyć. Ale na świecie istnieje prawo serii. Jest to dość dziwne, ale tak już jest. Jak się jedno nieszczęście zdarzy, to potem po kolei wszystko człowieka ciśnie. Gdy się zaczyna powodzić, to wali drzwiami i oknami... Seriami też idą kataklizmy... Znane są serie trzęsień ziemi, wytłomaczalne naukowo. Ale znane są też serie pożarów, już trudne do wytłomaczenia.

Tak i w chwili obecnej zdublowały się dwie potworne wiadomości. Morderstwo wielu tysięcy oficerów polskich pod Smoleńskiem i morderstwo 8 czy 10 pilotów amerykańskich, rozstrzelanych przez Japończyków. Chyba obaj członkowie dłuższej Osi nie porozumieli się z sobą, ażeby te dwie wiadomości puścić prawie że jednocześnie. Polacy nie żyją już od trzech lat, a egzekucja Amerykanów odbyła się nieledwie przed paru dniami. Jednoczesne ujawnienie obu tych faktów było zupełnie przypadkowe. Prawo serii i w tym wypadku zachowało swą moc.

Jakaż jednak różnica w efekcie! Wiadomość o masowym mordzie Polaków przeszła tak sobie przez Stany Zjednoczone. Nie mówimy o Amerykanach polskiego pochodzenia. Rosło pomału zainteresowanie. Odezwały się tu i owdzie głosy współczucia i potępienia. Ale ludzie nadal spokojnie zjadali swój obiad i o swojej porze szli spać. Niewielu wyobraziło sobie tragedię jeńców wojennych, z związanymi z tyłu rękami, otrzymujących nieoczekiwany strzał rewolwerowy w tył głowy. I tu nagle jakby piorun trząsk. Radiostacje łapią urzędowy komunikat japoński o straceniu lotników, którzy brali udział w nalocie na Japonię. Pośród 130-to milionowej ludności zawrzało. Ulicami do późnynocy przewalają się tłumy. Dzienniki przepełnione są artykułkami, żądającymi natychmiastowego pomszczenia popełnionego barbarzyństwa. Amerykanie zaciskają pięści, szukają doraźnie możliwości wy-

konania zemsty. Wszyscy są pod wrażeniem tego
ohydnego czynu. Wielu nie chce uwierzyć że to
prawda...

Jakże dziwnie inna reakcja! Tu tysiące tak sa-
mo bezbronnych, tam może 10 tylko. Ale cyfry nie
odgrywają tu roli. Dobrze jest przysłowie: "Bliż-
sza ciąża koszula, aniżeli inna część garderoby".
10.000 pomordowanych trupów, leżących gdzieś tam
w lesie pod Smoleńskiem, to rzecz błaha. Tyle
setek tysięcy ludzi zginęło już podczas tej woj-
ny. I to ju się stało tak dawno... Szkoda... Przy-
kro bardzo... Tego chyba nie popeźnili Bolszewicy.

Ale co tu się dziwić? Tak było, tak jest i
tak już będzie zawsze na świecie. Czas najwyż-
szy, aby sobie to wreszcie uprzytomnić. Musimy
więcej, coraz więcej liczyć na siebie. Możemy
oczekiwać pomocy od przyjaciół i zrozumienia na-
szych bólów wtedy tylko, gdy to rzeczywiście
będą w ich interesie. Pamiętajmy, że pomoc koń-
czy się, gdy się kończy interes. Nie zrozumią
naszego bólu, gdy jednocześnie i ich to nie bo-
li. Nie leży dzisiaj w interesie Wielkiej Bry-
tanii i Ameryki, aby napiętnować popeźnioną w
Łasku katyńskim zbrodni. Miejmy jednak nadzie-
ję, że przydzie taki czas iż wyciągnięcie tej
sprawy na forum międzynarodowe, będzie leżało nie
tylko w interesie polskim...

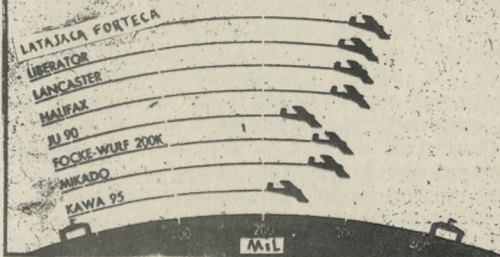
Tymczasem trzeba zjednoczyć się, aby wspólnym
wysiłkiem i w ścisłej łączności ze światem an-
glo-saskim wygrać wojnę. Tak ją wygrać, ażeby
następne pokolenia nie musiały przeżywać tego,
co nasze przeżyło dwukrotnie. A osiągnięte to
zostanie wtedy, gdy wszystkie w tej wojnie po-
pełnione zbrodnie, bez względu na to kto je po-
pełnił, zostaną przykładnie ukarane.

I znowu zapanuje prawo serii... Serii procesów
karnych przeciw wszystkim totalnym regime'om.
Za zbrojenie się celem wykonania napaści na bez-
bronnych. Za rozpętanie wojny i za wszystkie
przy tym popeźnione morderstwa i kaidactwa...

Narodziny Lancasterów...

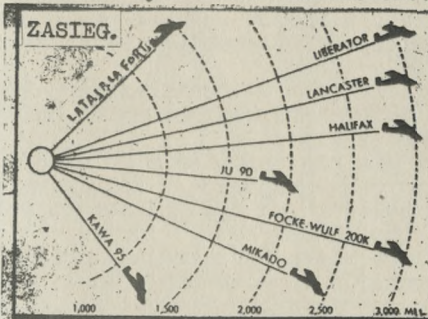
Brytyjski bombowiec Lancaster jest dzisiaj bezwątpienia jednym z najlepszych samolotów na świecie. Załączone dwie tabliczki ilustrują dość dokładnie, jakie miejsce zajmuje on obecnie pod względem szybkości i zasięgu. Trzeba jednak dodać, iż ża-

REZULTAT JEDNOGODZINNEGO WYSCIGU.



den z wykreślonych na tabliczkach samolotów, nie potrafi zabrać tego ładunku bomb, co Lancaster. Ładunek ten wynosi ośm ton, gdy Halifaxy zabierają 6, a Latającą Fortecę tylko 3 tony.

Na tle tych zalet Lancasterów, nader ciekawa jest



historia ich powstania, oraz ludzi, którzy model ten opracowali. Podajemy ją w reszce - niu i przekonani jesteśmy iż zainteresuje ona nie tylko speców lub ludzi żytych z samolotami, lecz i laików, którzy nigdy jeszcze stopą swą nie dotknęli ich pokładów.

2 TABLICE PORÓWNAWCZE.

Panowie R. H. Dobson i Roy Chadwick - oto konstruktorzy bombowca "Lancaster". Rozpoczęli oni swe prace przy budowie samolotów 30 lat temu. Założyli firmę pod nazwą "Avro". Dziś ta firma jest ogromnym koncernem, którego początkowym produktem był samolot "504 Trainer", używany podczas ubiegłej

wojny. Produkcja ostatnich lat - to Ansony, Manchester i Lancastery.

Mr. Chadwick już jako mały chłopiec budował aparaty, modele których wykazywały wiele zalet i pomysłowości. Niektóre z nich posiadały tak silne sprężynowe nakrętki, że przelatowały do ogrodów sąsiadów, łamiąc tam przy tym gałęzie i niszcząc kłoby.

Matka jego wysłuchiwała narzekań i żalów sąsiadów, a w chwilę potem pomagała synowi budować następne modele. W wolnym czasie młody Chadwick studiował aeronautykę a mając 18 lat był już asystentem Mr. A. V. Roe, z którym pracowali w urzędzonych na ten cel suterenach. Kończąc 21 lat, miał już pod sobą stu rysowników. Jednym z nich, mniej więcej w wieku Chadwick'a, był p. R. H. Dobson, obecny dyrektor olbrzymiego koncernu "Avro".

W czasie ubiegłej wojny fabryka przeniosła się do dzielnicy Newton Heath w Manchester.

Podział pracy był następujący: Mr. Chadwick robił projekty a Mr. Dobson pracował przy modelowaniu i konstrukcji. Chadwick następnie latał z pilotami, wypróbowującymi maszyny, dla porobienia odpowiednich ulepszeń, a Dobson spędzał wiele czasu na stacjach lotniczych Królewskiego Lotniczego Korpusu.

Lancaster ukoronował ich 30-letnią pracą. Produkcja tego modelu rozpoczęta została tylko dzięki czystemu przypadkowi.

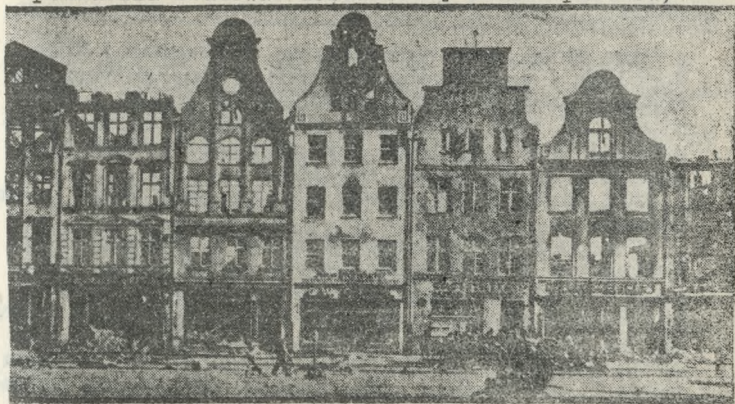
Koncern otrzymał wielkie zamówienie na nieco odmienny typ dwumotorowego bombowca. Różnica między starszym typem polegała na tym, iż nowy model miał zabierać większy ładunek bomb i posiadać większą szybkość. Budowa miała być seryjna, przy czym w pewnej umówionej i ograniczonej jednostce czasu, miała być dostarczona odpowiednia ilość gotowych bombowców. Już po podpisaniu umowy okazało się, że firma dostarczająca silniki, nie nadąży z ich dostawą. Do nowego typu niezbędne były silniki o większej mocy, wymagały przeto dłuższego czasu do ich wykonania.

Zarząd koncernu "Avro" postanowił bez porozumienia się z Ministerstwem Lotnictwa, zastosować do nowego modelu cztery silniki w miejsce dwóch. Do-

stawą odpowiedniej ilości tych silników była zapewniona. Zaś cztery silniki łącznie, nawet dużo słabsze, zawierają więcej mocy, aniżeli dwa silniki, uprzednio projektowane. Szybko zmieniono plany, dostosowano rozmiary samolotu i zabrano się do roboty.

Aparat próbny zbudowany został w rekordowym czasie. O planach jego, jakości i sile oraz nośności, pp. Chadwick i Dobson mało co poinformowali Ministerstwo Lotnictwa. Postanowili przedstawić gotowy model. Uprzednio obawiali się prosić o zezwolenie, przypuszczając iż fachowcy z Ministerstwa nie zechcą ryzykować cennego czasu na eksperymentowanie. Zbyt pewni byli dokonanych przez siebie obliczeń, aby obawiać się iż nowy typ ich zawiedzie.

I rzeczywiście komisyjne próby wykazały wysokie zalety nowego bombowca. Posiada on idealne warunki, wymagane od samolotów, mających za zadanie zbombardowania celów, położonych daleko od bazy wyjściowej. Uruchomiona potem seryjna produkcja, potrafiła zbudować dostateczną ilość aparatów,



ROSTOCK PO NALOCIE

potrzebnych do przeprowadzenia masowych nalotów na miasta niemieckie na wschodzie i północne miasta włoskie.

Swą próbę ogniową Lancastery przeżyły ku zupełnemu zadowoleniu tak szefów brytyjskiego lotnic-

stwa, jako też i lotników, pilotujących te olbrzymy. Najbardziej jednak zadowoleni byli z dokonanego dzieła pp. Chadwick i Dobson, jedni ze znakomitszych pionierów dzisiejszego brytyjskiego przemysłu lotniczego.

Niemcy-Turcja w Turcji...

Jeden z brytyjskich korespondentów, niejaki Eric Bigio, przebywał niedawno w Turcji i podaje stamtąd swe ciekawe spostrzeżenia o Niemcach, gromadnie nawiedzających to jedno z niewielu neutralnych jeszcze państw.

Zachowanie się turystów niemieckich wskazuje na to, iż w Niemczech panuje jednak wielki brak artykułów spożywczych, absolutna niemożliwość kupienia sobie ubrania czy butów i w końcu obawa przed powojenną inflacją, popychająca posiadaczy niemieckiej waluty do kupowania wszystkiego, nie bacząc na to, czy są to rzeczy przydatne lub nie.

Parc Hotel jest największym, najbardziej komfortowym i najdroższym hotelem w Konstantynopolu. Obecnie jest on stale przepełniony gośćmi z Niemiec. Do tego stopnia iż otrzymał on nazwę "Brunatnego Domu", używaną już popularnie przez mieszkańców b. tureckiej stolicy.

Eric Bigio w ten sposób opisuje swój pobyt w tym hotelu:

"Obserwowałem czterech Niemców w średnim wieku, przybyłych w godzinach rannych tegoż dnia. Właśnie zeszli na obiad. Przede wszystkim zamówili po butelce dobrego wina na osobę. Następnie zabrali się do jedzenia. W życiu swoim nie widziałem ludzi, mogących skonsumować na jednym posiedzeniu takie ilości jedła. Nie ominęli ani jednej potrawy z bogatego menu pierwszorzędnej restauracji."

"Objasniono mi potem iż odwiedzający hotel Niemcy, nie różnią się pod tym względem wcale: wszyscy objadają się jednakowo, szczególnie w pierwszych dniach swego pobytu".

Klasycznym przykładem nieumiarkowanego obżarstwa był wypadek, że urzędowy "team" niemieckich food-

balistów przegrał z najsłabszym tureckim zespołem w stosunku 3:0. Członkowie tego "teamu" tak się opchali po przybyciu, że potem w walce nie mogli się zupełnie ruszać.

Czterej obserwowani Niemcy przybyli w dość eleganckich ubraniach. Po dokładniejszym jednak przyjrzeniu się, można było zauważyć, iż ubrania ich wykonane są z "ersatz" materiału. W krótkim czasie też ukazali się oni w nowych, kupionych w Konstantynopolu, garniturach. Niemcy wykupują w Turcji wszelakiego rodzaju materiały, jak również ubrania, buty, bieliznę etc. Żaden krawiec nie przyjmie zamówienia z terminem krótszym niż 4-5 miesięcy.

To samo się dzieje w dziale damskim. Niemki, towarzyszące często swym mężom, wykupują wszystkie sukienki i pończochy, jakie tylko mogą gdzie dobrać.

Ceny są wysokie, ale Niemcom nie brak gotówki. Kupują duże ilości wszelakich przedmiotów, posiadających wartość stałą. Perskie dywany, drogie kamienie, klejnoty, wszystko to pomazku wyjeżdża do Vaterlandu. Rozumie się płacą za to tureckimi funtami.

Wyjątkiem pod tym względem jest von Papen. W celach propagandowych płacił on wiele razy angielskimi suwerenami. Ale Turków nie łatwo omamić. O niemieckim dobrobycie i bogactwach, sądzą oni po towarach, otrzymywanych w clearingu z Niemiec. Ich gatunek jest bardziej przekonującym argumentem dla tureckiego kupca. Naprzykład niemieckie aparaty fotograficzne nie posiadają tych szkieł, co przed wojną, a oprawa aparatu, zamiast z metalu, wykonana jest z bakelitu.

Jeszcze na początku 1942 roku Niemcy wysyłali z Turcji dziesiątki tysięcy paczek żywnościowych. Gdy jednak sklepy i składnice coraz bardziej zaczęły pustoszeć, rząd turecki wstrzymał wolny wywóz żywności i dzisiaj można wysłać pewną określoną ilość produktów, ale za uprzednio od odpowiednich władz otrzymanym zezwoleniem.

Psia żmyślność...

Zamieszkała w małym miasteczku kobieta posiada psa i kota. Codziennie rano idzie do pracy i na ten czas odnosi kota do jednego ze swych sąsiadów. Pies - brązowy wyżeł-pozostaje w tym samym czasie na własnym podwórku. Pewnego dnia sąsiad wypuścił kota nieco wcześniej, pozwalając mu udać się do domu. Kota napotkał najzawziętszy jego wróg, zwinnie foxterier. I byłby biedny Mruczek zginął sromotnie, gdyby w porę nie nadbiegł z pomocą przyjaciel-wyżeł

Innym razem Mruczka zaatakowały dwa kocury; znowu wyżeł wyratował go z opaków.

Od tego czasu, punktualnie, gdy zegar wybija godzinę piątą, nasz wyżeł udaje się do sąsiada i eskortuje kota bezpiecznie do domu.

Pięknego czarnego dobermana właściciel trzymał na obroży. Obroża ta była mocna i dość ściśle przylegała do szyi a jednak dobermanek każdego dnia potrafił się wyswobodzić i pohasać sobie na wolności.

Kiedyś, zaczaiwszy się, właściciel odkrył tajemnicę. Doberman miał przyjaciela owczarka. Gdy się ten zjawił, natychmiast łapał za obrożę i ciągnął do siebie. Nasz Dobek w swoją stronę. W krótkim czasie wąski żeb psa prześlizgiwał się przez obrożę i oba pieski mogły swobodnie prowadzić swe codzienne harce.

Dwuch przyjaciół spotkało się na ulicy. Rozmowę ich ciągle przerywał mały fox, trącając ich mordą i naszczekując.

"Czego on chce", zapytał jeden?

"Prosi żebyś mu dał 6 pensów".

"Dotąd nabierany byłem tylko przez ludzi, nigdy przez psów. A czy 1 penny mu nie wystarczy?"

"Nie, on nie weźmie mniej, jak 6 pensów".

Otrzymawszy do pyska srebną monetę, pies pobiegł przed siebie, zatrzymując się po drodze i

czekając na ofiarodawcę. Gdy dobiegł do dużego kolonialnego sklepu, poczekał aby mu otworzono drzwi. Tutaj śmiało i pewnie pobiegł do kontuaru z wędlinami.

"Ha, mój stały klient", odezwał się ekspedient.

Zapakował parę frankfurckich kiełbasek, związał paczkę sznurkiem i podał psu. Piesek upuścił na podłogę monetę. zabrał paczkę i biegiem z powrotem.

Tam położył u stóp ofiarodawcy paczkę i czekał na jej rozpakowanie. Rozumie się 2 żyki wystarczyły, ażeby po kiełbaskach nie pozostało ani śladu.

Właścicielem Billa, niewielkiego owczarka, jest kierownik poczty obsługującej małą wieś. Stacja kolejowa oddalona jest od poczty o kilkaset metrów. Dwa razy dziennie Bill biegnie do pociągu i przynosi worek z pocztą.

Dlaczego Bill ignoruje inne pociągi, a zawsze biegnie do tych, które przywożą pocztę, tego właściciel, który go sam trenował, zrozumieć nie może. Faktem jest, że Billowi nigdy nie trzeba przypominać o jego obowiązkach.

Mały rozpieszczony wyżeł mieszka z rodziną, w której jest niewidoma kobieta. Ile razy idzie ona, pies natychmiast wstaje, usuwając się jej z drogi.

Psu temu ani nie zwracano na to uwagi, ani nie był w odpowiedni sposób trenowany.

Natomiast gdy inni członkowie rodziny idą w jego kierunku, choćby leżał na środku drogi, nigdy ze swego miejsca się nie ruszy.

Numer następny, t. j. szósty ukaże się w dniu 12 maja i poświęcony będzie częściowo pamięci Marszałka Piłsudskiego.

Śmierć ppłk. Keyesa...

Historia poniższa nie wylęka się w wyobraźni autora. Jest to prawdziwa historia wojenna, mówiąca o bohaterstwie i samozaparciu, ślepej wierze i absolutnej pewności siebie.

Streszczona z książki Allana A. Michie, p.t. 'Retreat to Victory', pochłania czytelnika. Czyta się ją jednym tchem.

Dwie łodzie podwodne wypływały z Alexandrii o zmierzchu 14 listopada 1941 r. W każdej z nich było 50 komandosów, którzy zgłosili się na ochotnika na wyprawę. Wyprawę tak ryzykowną, że tylko może 10% mogło mieć nadzieję powrotu z niej.

Gen. Auchinleck, dowodzący wtedy 8-mą Armią, przekonany był, że jeżeli Korpus Afrykański pozabawiony zostanie dowódcy /gen. Erwina Rommela/, to jego wartość bojowa spadnie do minimum. Postanowił przeprowadzić ryzykowną ekspedycję i dostać Rommela żywego lub martwego.

Na dowódcę zgłosił się najmłodszy podpułkownik w armii brytyjskiej - 24-letni Geoffrey Keyes. Ekspedycja wyruszyła natychmiast.

Wobec poważnego defektu w maszynach, jedna z podwodnych łodzi musiała zawrócić z drogi do portu. Druga płynęła dalej i następnego dnia wieczorem wysadziła na ląd 50 ludzi nieco na wschód od Tebruku. Z okrętu przepłynęli w małych gumowych łodziach Dwudziestu żołnierzy pozostało na brzegu dla ich pilnowania i obrony. 30-stu pomaszerowało na przełaj przez pustynne piachy, aby dotrzeć do niemieckiej Kwatery Głównej. Znajduje się ona wówczas w obszernej willi, pośrodku obozu w Sidi Raffa.

Komandosi dostali się w pobliże willi wyschniętym korytem rzeczki, przechodzącym na zewnątrz obozu. Dwa dni przeleżeli, schowani w tym korycie i nakryci piaskiem. Przed północą 17 listopada wyprostowali nogi, zjedli posiadane żelazne racje żywnościowe i ruszyli do obozu. Płk. Keyes szedł na czele oddziału z gotowym do strzału rewołwerem. Za nim, w małych odstępach, posuwali się

jego komandosi z "Tommy i Bren gun'ami", gotowymi do strzału. Kierowali się prosto do willi w środku obozu. Kiedy posterunek niemiecki zatrzymał ich, padli na ziemię, podczas gdy jeden odpowiedział doskonałą niemiezczyzną.

W chwilę potem, posterunek nie zdążył nawet zignorować. Po dojściu do willi, lekko zapukali do drzwi wejściowych. Żołnierz, który otworzył je, zaduszony został w oka mgnieniu. Część napastników pozostała na zewnątrz, ażeby odeprzeć ewentualny atak. Reszta weszła cicho /buty mieli na gumowych podeszwach/ do willi. Potem nikogo już nie pytali o kierunek. Kopnięciem otwierali drzwi i bryzgali na wszystkie strony ogniem swych naganów. Grupa sztabowych oficerów pracowała w jednym z pokojów. Pozostali tak pochyleni nad mapami, przeszyci kilkudziesięciu kulami. To samo spotkało żołnierzy, zaniepokojonymi strzałami i zbiegającymi z góry.

Keyes uderzył inne jakieś drzwi. Nie zdążył jednak przekroczyć progu, gdy padł rażony kulami. Przestrzelony brzuch spowodował natychmiastową śmierć. Zastępca jego kpt. Campbell zdążył rzucić do pokoju granat, który uspokoił na zawsze znajdujących się tam strzelców.

W tym czasie zaalarmowany został cały obóz. Komandosi nazewnątrz domu walczyli rozgromienie ażeby nie dopuścić Niemców do willi. Młody Campbell gwizdkiem dał znak do odwrotu. Tylko ośmiu mu odpowiedziało. Zdążyli jeszcze z dołu rzucić granaty na pierwsze piętro, w nadziei, że może Rommel tam się znajduje.

Nagle kula przeszła nogę Campbella. Nie chcąc niepokoić towarzyszy, rozkazał wysadzić przy pomocy ręcznych granatów znajdujący się tuż magazyn amunicji i cofać się do brzegu. Komandosi dali mu szybki zastrzyk morfiny i oparli go o rosnące owocowe drzewo. Według wszelkiego prawdopodobieństwa, Niemcy zastrzelili go nazajutrz bez litości.

Pozostali komandosi w jakiś nieprawdopodobny sposób przedarli się przez obóz. Niestety po

dotarciu do brzegu morza, przekonali się iż po-
zostawieni towarzysze zostali zaatakowani a gu-
mowe łodzie zniszczone. Skierowali się więc na
pustynię, chcąc dotrzeć do brytyjskich posterun-
ków. W drodze natknęli się na nieprzyjacielskie
patrole i tylko dwóch z pośród 50 zdołało dotrzeć
do brytyjskich linii po 41 dniach.

Poniesione ofiary okazały się próżne. Akurat
tej nocy Rommel był obecny na jakimś uroczystym
przyjęciu w Rzymie.

Czy wiecie, że...

Niemcy niedawno zmusili byłego boliwijskiego
ambasadora przy rządzie francuskim, senora Don
Simona Patino, do wyjazdu z Paryża. Don Patino
powrócił do Boliwii.

Fakt ten rozumie się, nie miałyby dzisiaj wogóle
ani znaczenia, ani nawet nie byłby ciekawym, gdy-
by nie to, że p. Patino jest jednym z najbogats-
szych ludzi na świecie.

W Europie posiada on dwadzieścia pałaców, któ-
rych nie odwiedził pewnie już od 20 lat. W roku
1925 fortunę jego obliczano na 125 milionów
szterlingów. Od początku bieżącej wojny, Stany
Zjednoczone zakupują całą produkcję cyny, z posia-
danych przez niego kopalni. Produkcja jego plan-
tacji drzew gumowych bez reszty odchodzi do Pół-
nocnej Ameryki. Ceny na oba surowce podskoczyły
nie póżmiernie, szczególnie od czasu zajęcia
Półwyspu Malajskiego przez Japończyków. Rozumie
się, bogactwo jego odpowiednio do tych cen wzrasta
i stanowi trudny do obliczenia majątek. Przed
wojnę miał on na kontach w swych bankach do dys-
pozycji wiele milionów funtów szterlingów.

Syn jego, Don Antenor, na krótko przed obecną
wojnę zamianowany był boliwijskim ambasadorem
w Londynie.

REDAKCJA I ADMINISTRACJA

"Co słychać"

43, BRUNTSFIELD PLACE, EDINBURGH.

TEL. 53061.

Mustangi...

Trzech oficerów niemieckich wychodziło z hotelu w Północnej Francji, aby udać się na obiad. Ni stąd ni zowąd usłyszeli tuż nad głową szum motoru i trzask karabinów maszynowych. Nie zdążyli się zorientować a już leżeli u stóp zewnętrznych schodków, przesyłani kulami.

W miejscowości nad Kanałem La Manche, maszerowało raniutko pięćdziesięciu żołnierzy do kąpielni. Rozebrali się, pozostawiając ubrania na plaży. Znowu zniecka paskudny szum motoru. Zagrały karabiny maszynowe... Ci, których kule ominęły w wodzie, wyskoczyli na brzeg, aby skryć się pod kredowymi ścianami nadbrzeżnych skał. Dla lotnika był to jeszcze dogodniejszy cel, niewielu przeto uratowało swą skórę...

W ten sposób niemiecka armia okupacyjna niepokojona jest we wszystkich miejscowościach przybrzeżnych Zachodniej Europy. Każdej chwili muszą się tam Niemcy spodziewać nagłego ataku z powietrza.

Dywizjony Mustangów należące do "the Army Co-operation Command of the R.A.F." najbardziej są dokuczliwe.

Mustangi produkowane są w Kalifornii. Zdobyły one serca pilotujących je lotników. Mustang jest najszybszym w świecie samolotem wywiadowczym. Posiada przy tym tę wartość, że szum jego motoru słyszany jest dopiero w chwili, gdy już znajduje się prawie nad celem. Jest on nawet trudny do odkrycia przez detektory.

Jego uzbrojenie jest dostatecznie silne, ażeby się mógł obronić przed atakującym go pościgowcem. Jest też dostateczne, aby narobić szkód i strat posterunkom i oddziałom naziemnym. Zasięg Mustanga jest duży. Jest przy tym zwrotny i doskonały do manewrowania. Są to zalety, jakich się wymaga od samolotu, przeznaczonego do wykonywania wywiadów.

Chwilowo aktywność Mustangów jest czysto ofensywna. Hulają sobie nad Holandią, Belgią i Fran-

cją a nieszczęsne garnizony niemieckie są ich stałym celem.

Mustangi często atakują nad ziemią, wyskakując z za drzew, pagórków a często i domów. Jeżeli są niskie chmury, samoloty te na podobieństwo jastrzębi spadają nagle na upatrzone ofiary.

Nieprzyjaciel nie zdąży nawet przyjść do siebie a Mustanga już nie widać ani słyszać. Nie ma czasu na użycie broni palnej. Gniazdo karabinu maszynowego Mustang potrafi unieszkodliwić po prostu w mgnieniu oka.

Głównym jednak zadaniem Mustanga jest wywiad. Gdy znowu walki na kontynencie się rozpoczną, Mustang będzie okiem i uchem armii.

Musi badać pozycje obronne, dowieść o każdej koncentracji i nieledwie o każdym podejrzanym ruchu nieprzyjaciela. Szybkość i zwrotność pomoże mu uskoczyć przed obroną ziemną, doskonałe uzbrojenie daje możliwość obrony przed atakiem z powietrza.

Pilot Mustanga zdaje raport oficerowi łącznikowemu z Dowództwa Armii. Otrzymane informacje podlegają dokładnej analizie i przesyłane są do sztabu jednostki, dla której dany aparat prowadzi wywiad.

Bystrość i szybka orientacja - oto wymagane warunki od pilota Mustanga. Robić spostrzeżenia na wysokości paruset lub kilkudziesięciu stóp nad ziemią, przy takiej szybkości, nie jest zadaniem łatwym. Jednocześnie pilot musi być gotów do odbarcia oczekiwanego ataku, nadawać przez radio do swej bazy niecierpiące zwłoki informacje i kierować swym aparatem często w trudnych warunkach atmosferycznych.

Mustangi przeważnie chodzą samotnie. Pilot jego to naprawdę sierota. Musi posiadać ogromne doświadczenie. Musi pilnować ciągle własnej skóry a jednocześnie upatrywać ofiary. I to od chwili startu aż do samego powrotu.

Pomimo to piloci innych typów zazdroszczą szczęśliwcom, jak ich nazywają, pilotującym Mustangi.

Pamiętnik Lotnicza...

Jedynn Godziuski

Okolicę znałem i domyśliłem się odrazu, że są to wybuchy w składnicy amunicji Stawy, czy też Stawki. Tu po raz pierwszy powiedzieliśmy sobie ze szwagrem, że jest naprawdę źle. Widzieliśmy oto, na własne oczy, zniszczony przez nieprzyjaciela obiekt wybitnie wojskowy, mający bezpośrednie znaczenie i styczność z prowadzoną wojną. Współlokatorom wagonu nic nie powiedzieliśmy o swoich domysłach, gdyż wydawało się nam, że ta wiadomość jest zbyt przygnębiająca. Dotychczas słyszeliśmy, że pomimo zniszczenia że tak powiem "cywilnego", armia choć się cofa - jest nadal silna. Tu widzieliśmy sami cios, zadany w potencjał armii i nasuwał on nam dużo refleksji na temat, co się dzieje z innymi obiektami wojskowymi w Polsce. Towarzystwu wytłumaczyliśmy, że widziane wytryski płamieni są to sygnały świetlne dla naszych lotników, powracających na lotniska.

Dotychczas podtrzymywany humor zgasł, sen nie przychodził. Cały horyzont stał w łunach pożarów. Dalej płonął, jak się potem dowiedziałem, Kurów. Nigdybym nie przypuszczał, że może on stanowić jeden z "obektów wojskowych", które rzekomo "wyłącznie" mieli Niemcy bombardować. A wogóle mam wątpliwości, czy ta maleńka żydowska osada, cała razem warta była tyle, co wartość jednej ze zrzuconych na nią masowo bomb.

Pociąg posuwał się stale i w pewnej chwili zdrzemnąłem się. Obudziło mnie mocne uderzenie w nasz wagon, od tyłu. Nowa przyjemność naszej podróży. Pociąg jadący za nami, jak i my bez świateł, nie zauważył w porę naszego zatrzymania się, zapóźno zaczął hamować i potracił nas lekko. Następny raz może być mocniej, więc wystawiliśmy posterunek, który miał w razie zatrzymania się pociągu i zachodzącej ku temu potrzeby, alarmować zbliżający się następny pociąg, za pomocą zapalonej gazety. Nie spaliliśmy więcej.

Mniej więcej na godzinę przed świtem dn. 10/IX, zniecierpliwiony zbyt długim postojem, wyszedłem z wagonu, aby zorientować się co do szans dalszej jazdy. Od maszynisty dowiedziałem się, że stoimy w bezpośrednim sąsiedztwie stacji Sadurki, w odległości około 20 - 25 klm. od Lublina, że przed nami stoi, jeden za drugim, kilkadziesiąt pociągów ewakuacyjnych, unieruchomionych, prawdopodobnie, przez uszkodzenia na st. Lublin.

Wobec zniszczenia przewodów telefonicznych, niema żadnych możliwości dowiedzenia się czy i kiedy droga zostanie otwarta.

Sytuacja ta mocno mi się nie podobała, a to tymbardziej, że płaski teren i brak lasów, do samego Lublina, wystawiał tę czekającą karawanę pociągów, na nieuchronne bombardowanie. Zwykła godzina nalotów zbliżała się.

Wróciłem do wagonu i poinformowałem o sytuacji tak kolegów jak i współpasażerów, doradzając aby wszyscy, nie związani służbowo z pociągiem, udali się do Lublina pieszo. Posiadając mapę, byłem w stanie wskazać zainteresowanym kierunek, tak aby mogli iść naprzeczą, z pominięciem toru lub szosy.

XX

XX

XX

Wprawdzie podróż piesza nie bardzo się nam uśmiechała, gdyż jeszcze z marszu do Anina nogi mieliśmy podparzane /buty z cholewami nie są najwygodniejszym obuwem dla dalekich marszów/, ale dalsze siedzenie w pociągu nie miało sensu. Ruszyliśmy więc wzdłuż toru do stacji, aby pominięciu jej, skrócić na łąki, którymi naprzeczą mogliśmy się dostać aż pod sam Lublin.

Stacja Sadurki, jak i większość dotychczas widzianych, znajdowała się w stanie opłakanym. Wprawdzie budynek jeszcze stał, ale powyrywane okna, połamane drzewa i nadewszystko trupy na peronie, dowodziły, że nie została ona pominięta w niszczycielskim pochodzie wroga. Duże wrażenie

zrobiły na mnie trzy trupy kobiet i jednego dziecka, na które właściwie już nikt uwagi nie zwracał, leżące pod ścianą budynku stacyjnego, poszarpane były okropnie. W Sadurkach również, jak i w Dęblinie, widziałem naczelnika stacji na posterunku.

Za stacją skręciliśmy w lewo, w pola i wybierając dogodniejszą drogę, kotlinami i łąkami, ruszyliśmy we właściwym kierunku. Ponieważ nogi nam dokuczały, a kwestia paru godzin różnicy nie stanowiła, postanowiliśmy posuwać się naprzód nie spiesząc się, z wycieczkami, tak jednak aby przed wieczorem stanąć w Lublinie.

Widzieliśmy, jak od niekończącego się, ginącego na horyzoncie łańcucha pociągów, odrywały się grupki ludzi i oddalały się w pola.

Wobec postu, jaki mieliśmy poprzedniego dnia, trzeba było przede wszystkim posilić się. W najbliższej wsi dowiedzieliśmy się jednak, że większość mieszkańców również wyniosła się, w dalsze od kolei strony. Dużo porzuciło nawet cały swój dobytek, gdyż, jak mówiono, wczoraj było tu piekło i w sąsiedztwie kolei wytrzymać "nie sposób".

Dostaliśmy jednak od prześlizniętej, jak z obrazka Stachewicza, dziewczyny, dzban kwaśnego mleka, i po kawałku chleba. Miała ona właśnie również opuścić chałupę, aby udać się do dalej mieszkających krewnych i tylko czekała, aż skończymy jeść. Na zapytanie nasze "ile się jej za to należy", odpowiedziała, nabrzmiałym od żez głosem:

-A gdzieżbym ja za to pieniądze brała, mam, to daję, i tak tego nie schowam. Handlować teraz to grzech. -

W godzinach przedpołudniowych zaczęliśmy spotykać zbiegów z Lublina, który według ich opowiadania cały był zamieniony w gruzy i płonął. Jak się okazało miasto było poprzedniego dnia bombardowane, szczególnie śródmieście. Jak wynikało ze słów, do ostatnich granic wystraszonych ludzi, nie było poco tam chodzić, Jednakże

nie przywiązywaliśmy do tych informacji zbyt wiele wagi, przypuszczając jak się okazało słusznie, że w opowiadaniach tych więcej jest przesady i strachu niż prawdy. Kiedy jedna kobiecina opowiedziała, że gmach sądu okręgowego zawalił się "razem ze wszystkimi sędziami", a reszta miasta "tyż", utwierdziło to mnie tylko w tym przypuszczeniu że strach ma wielkie oczy.

Maszerowaliśmy więc dalej. Około południa doszliśmy do jakichś koloni, bogatszych gospodarzy, gdzie zapytaliśmy o żywność. Starszy już chłop, przestraszony naszą obecnością, bo to "jak się ludzie kręcą lotnik pomyśli, że to wojsko i wszystko spali", chciał się nas jaknajprędzej pozbyć. Rozgniewany Józio oświadczył mu jednak, że pójdziemy sobie dalej jak kupimy coś do jedzenia. Przekonany jego stanowczym tonem chłop zniękł i prosił tylko, aby nie siedzieć tu na podwórzu, a schować się pod drzewami, "bo to i przyjemniej w chłodku". Zgodziliśmy się. Po chwili pojawił się jakiś chłopaczek i oświadczył, że mama może za jakąś horrendalną cenę ugotować nam jajek i sprzedać chleba. Zgoda i na to.

- Ile jajek? - Dwadzieścia!

Apetyt dopisywał. Kiedy po dziesięciu minutach ten sam chłopak przyniósł nam już ugotowane jajka, chleb i sól, Józio wlepił w niego groźne spojrzenie i zawarczał.

- "A skonina gdzie? A kiełbasa gdzie?" -

Chłopaczek zląkł się.

- "Niema, panie". - "Więc taszcz tu duchem mleko i masło!"

- "Dobrze, proszę pana". - I rzeczywiście po chwili żądane wiktuały zjawły się na murawie, przed nami, a zadowolony z naddatku 50 groszy chłopak z zainteresowaniem przyglądał się, jak to to wszystko prędko znikało.

Dalszy marsz wypadł przez dość rozległą równinę uprawnych pól i mogliśmy oglądać zdaleka ruch na przebiegającej linii horyzontu szosie. Każdy przejeżdżający wóz czy samochód wznosił za sobą

ogromną smugę kurzu. Również za oddziałami pieszymi ciągnęły się, dżugo nie opadające kłęby kurzu. Trudno sobie wyobrazić poprostu lepszą sygnalizację i wskazówkę dla nieprzyjacielskich lotników, jak te wlekące się nad drogami pióropusze. Spokojny zupełnie kraj, przez który obecnie szliśmy, dziwnie różnił się od opuszczonych przez nas okolic. W jakiejś wsi zawiñęliśmy do szkoły, aby wypytać o wiadomości, podane przez radio.

- "Jakoś nie mieliśmy dziś czasu posłuchać radia, a panowie skąd"?

- Zgłupieliśmy do tego stopnia, że kompletnie zapomnieliśmy języka w gębie i nie żegnając się, poszliśmy dalej.

Dobrze już popołudniu dotarliśmy do wsi, o ile pamiętam, Tomaszowice. Nastrój sielsko-anielski. Chłopi w malowniczej grupie, rozkózni na trawce nad strumykiem, Wojtek czy Antek, uradzili kiedy dostaną powołanie do wojska. Zagadnięci przez nas, orzekli, że furmankę do odległego o 10 klm. Lublina dostać można, ale za 10 złotych. Normalnie za taki kurs płaciło się złotych trzy. Podczas oczekiwania na zamówioną furmankę niespodziewanie spotykamy panią Jasiową i Jasia. Nietylko przybyli ale i zainstalowali się w sąsiedniej chałupie, gdzie właśnie wypoczywa szwagierka i gdzie się już gotuje dla nich jakaś kura czy gęś. Pani wita nas entuzjastycznie. Jaś również. Ostyga jednak w wylewności swojej z chwilą przypomnienia przez panią incydentu z wżażeniem pod ławkę, t. j. momentu, którego Jaś stanowczo nie życzy sobie pamiętać. Rozstaliśmy się z nimi po chwili, życząc przyjemnego pobytu, gdyż wobec bombardowania Lublina, postanowili pozostać tu, i już furmanką ruszyliśmy w dalszą drogę.

Brytanie, ze...

Tysiące brytyjskich i amerykańskich samolotów dostarczonych zostało na Bliski Wschód w ciągu ostatnich dwóch lat drogą powietrzną. Poprzez całą Afrykę, 6.000 mil ponad równikową dżunglą, pustynią i jakimiś krzakami płynęły aparaty nieprzerwanym sznurem.

Przed wojną jeden taki przelot byłby epokowym zdarzeniem. Obecnie, tydzień za tygodniem, piloci wszystkich narodowości pilotują aparaty nie upatrując w tym nic nadzwyczajnego.

Małe miasteczko na wybrzeżu Afryki Ekwatorialnej wybrano jako punkt wyjściowy, ze względu na posiadaną świetną przystań. Znajdujący się tam aerodrom jest dzisiaj jednym z największych i najlepiej wyekwipowanych na świecie. Tysiące murzynów zatrudnionych było przy wycinaniu dżungli i równaniu gruntu.

Stu polskich pilotów, wysłanych z W. Brytanii, odprowadziło do Egiptu ponad 1.000 aparatów najróżniejszych typów. Straty ogólne przy pilotowaniu tej ilości samolotów nie przeniosły 2%. A podróż taka nie jest łatwym zadaniem. Wymaga 24 godzin lotu i lotnik w drodze narażony jest ciągle na różnego rodzaju niespodzianki. Wiele historii można by napisać na temat przygód, których doznali choćby tylko nasi piloci.

Naprzykład załoga jednego bombowca musiała lądować w pustyni i wiele dni upłynęło do chwili, kiedy wreszcie czynione poszukiwania, uwieńczone zostały pomyślnym skutkiem.

Pan Józef Bech, minister spraw zagranicznych ... Luksemburga, miał wesołe i nader interesujące przemówienie na pewnym obiedzie, wydanym na cześć zagranicznych dziennikarzy.

Opowiedział historię o audiencji posła niemieckiego w ministerstwie, która miała miejsce zaraz na początku wojny.

Pan poseł żalił się iż mali chłopcy z tej

strony Mozeli wykrzykiwali różne epitety pod adresem Niemców. Następnie wyjął z kieszeni świstek papieru, na którym wszystkie te wyzwiska były spisane. Najskromniejsze z nich to była "świnia".

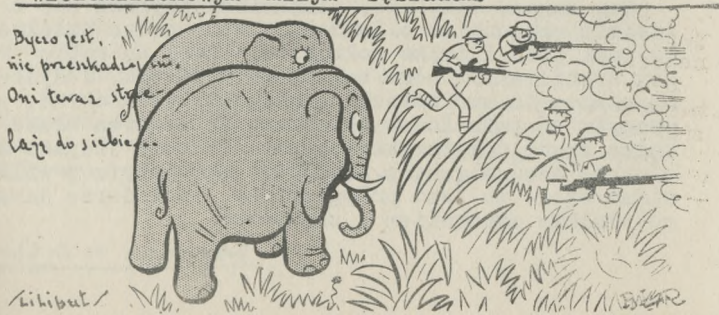
Pan Bech proszony był o natychmiastową interwencję, aby się więcej takie wypadki nie powtórzyły. Pan poseł groził przy tym, iż jeżeli się Herr Hitler o tym dowie, to mogą wyniknąć nader przykre konsekwencje.

Nazajutrz po audiencji specjalnie przeznaczeni woźni z okręgu Mozela, uzbrojeni w bębny, wykrzykiwali przez cały dzień, że takie to, a takie /powtarzali dosłownie w/g listy posła/ wyzwiska nie wolno wykrzykiwać poprzez rzekę, ażeby nie obrażać zamieszkujących tam Niemców.

Ogłaszanie to przy biciu w bębny, powtarzane było w ciągu trzech dni a mieszkańcy Luksemburga bardzo byli zadowoleni z wypłatanego Niemcom figla.

Według Mrs Elsy Haavio, wielkiej znawczynie Finów i pisującej do fińskiej prasy, straty poniesione przez Finlandię w obu wojnach z Rosją są zawrotne. Oblicza ona iż Finlandia straciła 40% stanu swej męskiej ludności. Liczba kalek jest tak wielka, że swoją ilością wywarła wpływ na skalę ogólnych urodzin. W ciągu 1939 roku ilość urodzin zmniejszyła się o jedną trzecią. W 1940 r. liczba urodzin była o 35% mniejsza od liczby wypadków śmierci. W 1941 i 42 roku ogólna śmiertelność przewyższała o 50% liczbę urodzin....

Powyższe cyfry są przerażającym dowodem, do czego może doprowadzić małe narody długa wojna z wielomilionowym "miłym" sąsiadem.



Wizyta Rommela...

Korespondent londyńskiego News Chronicle w TUNISIE, spędził parę godzin w pięknej posiadłości pp. Gages, w odległości 10 mil od Sfax. Streszczamy opowiadanie Mr. Pierre'a Fages, bogatego właściciela wielkich oliwnych sadów.

24 lutego siedział sobie p. Fages spokojnie na werandzie swej willi, gdy podjechał przed dom wielki samochód, z którego wysiadł jakiś niemiecki oficer. Mr. Fages nienawidzi Niemców, to też wykrzyknął z oburzeniem: "Kto pan jest i po kiego diabła pan tutaj przyjechał"? Pan Fages zaskoczony został nieco odpowiedzią iż jest to sam gen. Rommel we własnej osobie i że zamierza zamieszkać w jego willi z całym swym sztabem.

Ku oburzeniu gospodarzy Niemcy zabrali dla siebie wszystkie najlepsze pokoje, tak że pp. Fages zmuszeni byli przenieść się do pokojów służbowych.

Szofer Rommela nieco ich pocieszył, mówiąc: "Nie będziemy tu długo... Ostatnio nigdzie jakoś nie możemy zagrać miejsca..."

Nieproszeni goście pozostali tam jednak przez 21 dni. Potrafili oni w tym czasie całkowicie wypróżnić doskonale zaopatrzoną spiżarnię p. Fages. Spożywali przy tym te dary Boże na najlepszych obrusach i najpiękniejszej porcelanie. A drogocenne srebro tymbardziej jeszcze dodawało apetytu.

Pp. Fages sądzili, że za taką gościnność okażą ci panowie choć trochę wdzięczności. Ale gdzie tam. 15 marca opuścili dom w nocy, nie powiedziawszy nikomu do widzenia i... zabrawszy ze sobą srebro i najlepszą bieliznę.

Pan Fages, mimo swej nienawiści, wyraża się z wielkim szacunkiem o Rommelu. Uważa go za dzielnego żołnierza i tylko żołnierza. Nosi na sobie prosty żołnierski mundur bez żadnych odznak. Jedynie na czapce ma swe odznaki generalskie. Na obiad, w przeciwieństwie do swych oficerów, spożywa brane z kotła racje żołnierskie. Pozwalał sobie jedynie na większe ilości owoców. Podczas jego pobytu w willi widać było, że jest przygnębiony. Żołnierze darzą go wielkim szacunkiem i zaufaniem.

Dokończenie na str. 27

Lord Mountbatten.

Sylwetka

Nikt poza Downing Street nie wie, ilu komandosów posiada dzisiaj W. Brytania pod bronią. Dowództwo tego działu brytyjskiej armii utrzymuje w wielkim sekrecie wszelkie o tym dane.

Twórcą tych najbardziej niebezpiecznych oddziałów jest adm. Keyes, ojciec zabitego pod Tobrukiem 24-letniego ppłk. Geofreya Keyes'a.

Z górą przed rokiem dowódcą komandosów mianowany został lord Louis Francis Mountbatten, kuzyn króla Jerzego VI, potomek niemieckiej księżęcej rodziny von Battenbergów.

Operacje raidowe na Vaagso, Bruneval, St. Nazaire i Dieppe, planowane były już przez lorda Mountbatten.

W rodzinie królewskiej kuzyn 'Dickie' znany jest jako człowiek, który wie czego chce i potrafi chodzić własnymi drogami. Ma też opinię dowódcy, umiejącego utrzymać tajemnicę aż do chwili wykonania przedsięwziętego i planowanego zadania.

'Dickie' jest dzielny, posiada rozum, młodość /42 lata/ i...ujmujący wygląd. Marynarz od 13 roku życia, z ukończonym wydziałem elektrotechniki, jest czynnym członkiem Instytutu Radio-Technologicznego, Związku Inżynierów Elektrotechników oraz Architektów Morskich. Posiada od wielu lat prawo pilotowania samolotów cywilnych i ma świetną opinię w Wydziale Powietrznym Admiralicji. Ostatnio był dowódcą lotniskowca "Illustrious". Stamtąd został odwołany przez Churchilla na obecnie zajmowane stanowisko.

Lord Mountbatten lubi studiować książki i dzieła na temat prowadzonych kiedykolwiek walk gerylasowych, o wojnie podjazdowej i tp. Studiował ten dział z czasów boerskiej wojny, kiedy to po raz pierwszy pojawiło się słowo "komandos".

Po objęciu dowództwa nad "Combined Operations", Mountbatten znikł z widowni publicznej na dłuższy czas. Przechodził on forsowny trening tego wszystkiego, co muszą wykonywać jego podwładni. W

pierwszym swoim rozkazie do młodszych dowódców powiedział:

"Nie ma żadnej wartości nauczanie ludzi tego, czego sami osobiście nie potraficie wykonać". Poza tym wpajał w swych podwładnych zasady:

"Na pierwszym miejscu musi być dyscyplina, potem zaś dokładne wykonywanie zadania o ściśle przepisany czasie".

Ciekawe są okoliczności, dlaczego ojciec jego zmienił swe rodowe nazwisko "von Battenberg" na Mountbatten.

Gdy wybuchła ubiegła wojna, księżę Louis von Battenberg, w randze admirała, był Pierwszym Lordem Admiralicji. Był on już wtedy od 46 lat poddanym brytyjskim, kochał morze a jeszcze bardziej brytyjską marynarkę.

Ale nazwisko "Battenberg" zbyt załatywało Niemczyzną i w całej Wielkiej Brytanii rozległ się okrzyk: "Precz z Pierwszym Lordem Admiralicji. To Niemiec".

Dumny Księżę Ludwik spokojnie opuścił zajmowane stanowisko a w trzy lata później zmienił nazwisko. Otrzymał od króla tytuł lorda, lecz wyjście na emeryturę zżamało go zupełnie. Umarł w roku 1921.

Dickie był wtedy aspirantem marynarki na H.M.S. Lion.

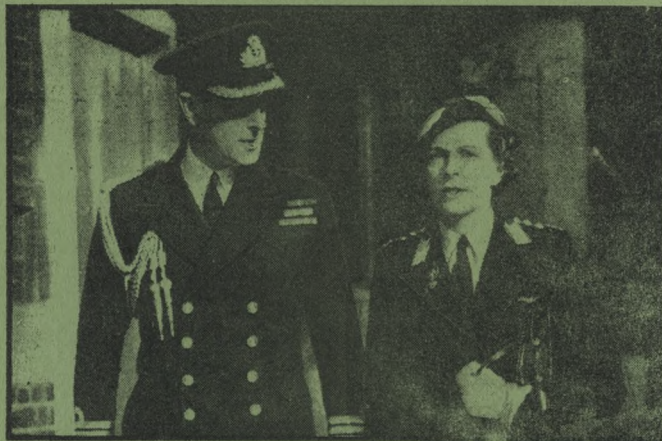
Awansował potem szybko nie tylko dzięki swym koligacjom. Odwaga, pierwszej klasy umysł i zimna krew, chodzą rzadko z sobą w parze. Młody lord Mountbatten posiadał właśnie te trzy zalety.

Okazał je jako kapitan torpedowca "Kelly", jednego z najpiękniejszych brytyjskich wojennych statków, wykończonego w 1939 r. Kelly wpadł na minę niedaleko od brzegów Norwegii. Każdy kapitan w jego sytuacji miał prawo wydać rozkaz opuszczenia statku. Cóż, kiedy Dickie jest uparty. Postanowił uratować okręt i potrafił dokonać tego zadania po 91 godzinach nadludzkiej walki.

Otrzymał za to D. S. O., ale według opinii swych

marynarzy, zasłużył sobie na trzy takie odznaczenia.

Lord Mountbatten jest żonaty i posiada dwie córki. Pani Mountbatten jest oficerem brygady ambulansowej pod wezwaniem Ś-go Jana. Przez dłuż-



szy czas przebywała z ramienia brytyjskiego Czerwonego Krzyża w Ameryce w celach propagandowych.

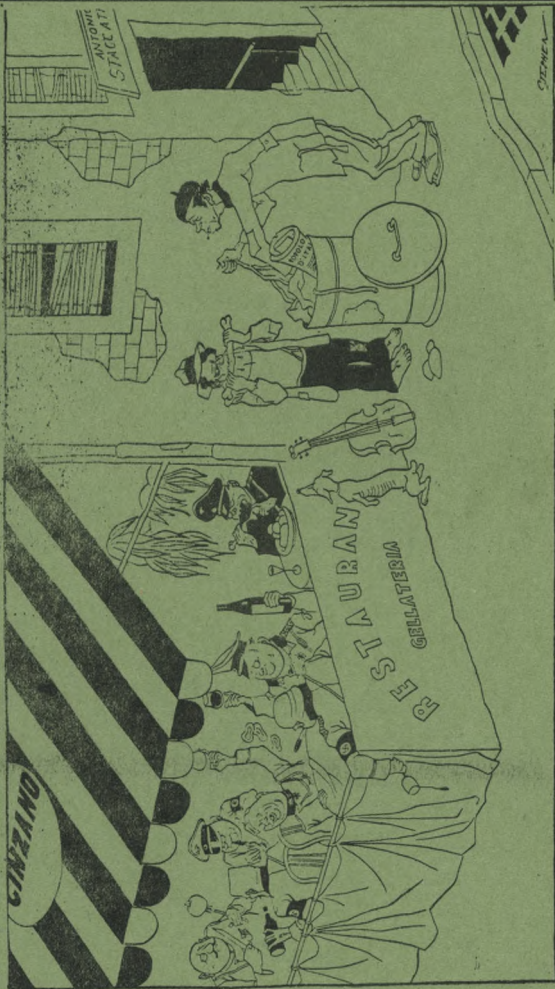
W ostatnich czasach mało się słyszało o działalności lorda Mountbatten i jego komandosów.

Ofensywa na Kontynent wykaże wszystkie zalety tej I klasy uderzeniowej armii, jak i jej dowódcy. Szczególniej w pierwszych dniach ciężkich walk, czekających Sprzymierzonych, akcja brytyjskich komandosów i amerykańskich "rangersów" będzie miała decydujący wpływ na wyniki dalszych walk.

Dokończenie ze str. 24.

Wogóle p. Fages podkreśla w swym opowiadaniu wybitną różnicę pomiędzy Rommelem a jego oficerami. "Podczas swego pobytu tutaj Rommel pracował codziennie do północy. Gdy rozmawiał z nami, to tylko o kwiatach, owocach i gospodarstwie. Nigdy nie poruszył tematu o wojnie. Rommel to dzielny żołnierz. Ale jego oficerowie, to poprostu... świnię.

Humor Brytyjski.



Nie martw się Antonio, i tak niedługo przegramy
wojnę...